

Polski rekord



Jerzy Baczynski

W tym roku majówka jest wyjątkowo krótka; kalendarzowo nie złożył się żaden pomost, jak choćby w 2018 r., gdy przy trzech dniach urlopu dawało się wykroić aż dziewięć dni wolnych od pracy. W sumie może i dobrze, bo widać, jak trudno jest już utrzymać przedłużające się zakazy imprez, spotkań, podróży; jak powszechnie są one ignorowane, omijane. Długi majowy weekend to byłaby czysta prowokacja, zwłaszcza że media codziennie pokazują obrazki z krajów, gdzie życie wraca już stopniowo do przedcovidowej swobody: Izrael, Portugalia, Dania, Szwajcaria, Anglia; nawet Węgry otworzyli hotele i siłownie (dla zaszczepionych). U nas zaufanie do nakładanych przez rząd rygorów i skłonność do ich przestrzegania nigdy nie były zbyt wysokie; a kwietniowe sondaże potwierdzają, że większość Polaków, w tym zwłaszcza młodzi, już zupełnie nie boi się zachorowania. Zresztą ponad 40 proc. ogółu społeczeństwa nawet nie zamierza się szczepić (o antyszczepionkowych postawach piszemy na s. 44). Psychologicznie i emocjonalnie już żegnamy się z covidem. Władze też podtrzymują nastrój końca wyrzeczeń: bo jesteśmy na krzywej spadkowej; bo „dzięki staraniom rządu” jadą do Polski miliony szczepionek i za parę tygodni właściwie każdy chętny będzie miał do nich dostęp; a zaraz zostaną ogłoszone kolejne poluzowania. Ta mieszanka zmęczenia i obietnic działa jak mocny środek znieczulający.

Pewnie dlatego tak milcząco przechodzimy nad jednym z największych dramatów we współczesnej historii Polski: właśnie, licząc od początku pandemii, przekroczyliśmy symboliczną granicę 100 tys. „nadmiarowych” – czyli ponad średnią wieloletnią – zgonów. Przeciętna dzienna liczba śmierci z powodu Covid-19 wynosiła w minionym tygodniu ponad pół tysiąca. Pod tym względem, w stosunku do wielkości populacji, należymy do najściślej światowej czołówki. A w Unii Europejskiej znaleźliśmy się na pierwszym miejscu. Na pierwszym! (To tak à propos nieustającego samochwalstwa premiera Morawieckiego). Ponieważ i tak ten majówkowy weekend mamy zepsuty, więc zapytam: czy na pewno to, co się w Polsce stało, mamy zapisać na konto „siły wyższej”; i tyle? Czy jednak owe tragiczne rekordy będziemy jakoś wyjaśniać? Czy przyrzemy się, ile z tych nadmiarowych śmierci było niekonicznych? Czy obecna rządząca formacja, która od ponad 10 lat zatrzuwa nas i poniża absurdalnymi teoriami na temat katastrofy smoleńskiej, zamierza przejść do porządku dziennego nad 100 tysiącami zgonów w ciągu roku? Przypomnę, że Zbigniew Ziobro sprawę szpitalnej śmierci swojego ojca uczynił przedmiotem niekończącego się dochodzenia, ba, zmienił nawet przepisy prawa, aby skuteczniej ścigać rzekome błędy medyczne – więc może tym bardziej powinno się utworzyć parlamentarną komisję śledczą „w sprawie działania organów państwa wobec epidemii SARS-CoV-2”?

Nie chodzi o to, aby szukać winnych, ale aby nie zapomnieć. Zapewne ogromna większość okolicovidowych śmierci była nie do uniknięcia. Znamy to już na pamięć: choroby współistniejące, podeszły wiek, spóźnione zgłoszenie się do szpitala, ale też przecież – niewydolność organizacyjna i nieprzygotowanie służby zdrowia, czego nie dało się nadrobić ofiarną, czasem ponad granicę wytrzymałości, pracą personelu medycznego (czytaj też s. 7). Obowiązkiem państwa – nie tej, to następnej ekipy – będzie rozliczenie się

z pandemią, wyciągnięcie wniosków, przygotowanie zasobów i procedur na przyszłe zbiorowe infekcje, które niechybnie nadejdą. Także sporządzenie bilansu błędów i zasług. Wszystkie rządy świata, stając wobec nieznanego wcześniej zagrożenia, popełniały pomyłki, dawały też przykłady godnej uznania mobilizacji, ale nie można dopuścić, aby rząd „sam się rozliczył”. Zwłaszcza ten rząd, który na każdym etapie walki z pandemią ignorował opozycję, niezależnych ekspertów, głosy praktyków, nikomu nie raczył się tłumaczyć z podejmowanych decyzji, nie udostępniał wiarygodnych danych. Wcześniej czy później powinien, będzie musiał zdać raport – jesteśmy to winni tysiącom „niekonicznych” ofiar epidemii i ich rodzinom.

Prezes Jarosław Kaczyński, który jakby na ironię w szczycie pandemii objął stanowisko wicepremiera ds. bezpieczeństwa, w tej sprawie „głośno milczy”. Zapewne w przyszłości nie znajdziemy żadnego dokumentu z jego podpisem ani w sprawie wprowadzania czy znoszenia restrykcji, strategii szczepień czy też organizacji służby zdrowia. (Nie znajdziemy też raczej atramentowych śladów prowadzących z Nowogrodzkiej do tzw. Trybunału Konstytucyjnego, Izby Dyscyplinarnej SN czy do prokuratorów Ziobry). Ale może kiedyś pojawią się świadkowie i zeznania. Im większe prawdopodobieństwo rozpadu rządzącej koalicji i ewentualnej przegranej w wyborach, tym słabsza będzie lojalność w obozie władzy. Przypuszczam, że już dziś wielu prominentów tej ekipy szuka sobie alibi i dokumenty na przyszłość. Doczekamy się tej wiedzy.

Żenujące, że w takim fatalnym momencie zbiorowej historii prezes państwa zajmuje się głównie cerowaniem prującej się koalicji. Jedyne pomysły polityczne, do którego PiS przywarł, to tzw. Nowy Ład, którego ogłoszenie będzie sygnałem politycznego końca covidu; ucieczki do przodu. To ma być plan wielkich (na ogół nierealnych) narodowych inwestycji („na miarę Misia i Tyma) oraz nowych (realnych) transferów gotówki. A zmasowana propaganda przyszłego sukcesu spróbuje zatrzeć pamięć o pandemii i jej ofiarach, o kłótniach koalicyjnych, psuciu państwa, nieudolności i nadużyciach rządzących. Władza będzie znowu kupowała sobie władzę.

Rzeczywiście Polsce bardzo potrzebny jest nowy ład, jednak zupełnie nie taki i nie po to. Pandemia zostawia nam bardzo trudną spuściznę. Trzeba nie tylko uczciwie przemyśleć i wyciągnąć konsekwencje z tego, co się stało, ale też szybko przestawiać kraj na życie w zmieniającym się popandemicznym świecie. W świecie zdalnej pracy, internetowego handlu, hybrydowego nauczania, rewolucji energetycznej, klimatycznej, komunikacyjnej, także nowej polityki społecznej (polecam raport z badań socjologicznych na s. 16 i rozmowę ze Sławojem Żiżkiem, s. 24), nowej geopolityki. To są zbyt poważne wyzwania i zadania, żeby zamknąć je w nieśmiertelnych „misiowych” szlagwortach: „słuszną linię ma nasza partia”, a przede wszystkim „łubu, dubu, niech nam żyje prezes naszego klubu”. Dziś, jeśli słowa i zachowania rządzących często przypominają komedię, to jest to bardzo czarna komedia.

Jan Koza



Pacjent prosił: „Uratuj mnie”

Rozmowa z pielęgniarką ze szpitala tymczasowego na MTP w Poznaniu, gdzie 30 marca zabrakło tlenu.

PAWEŁ RESZKA: – **Od dawna pani jest pielęgniarką.**

IZA: – Tak, od wielu lat. Mam duże doświadczenie. Ale czegoś takiego jeszcze nie przeżyłam. Zegary z pomiarem ciśnienia tlenu w instalacji są na każdej ze ścian szczytowych budynku, w którym jest szpital tymczasowy. Normalnie mamy 5 barów. Rano, po przyjeździe na zmianę, koleżanka nawet zwracała uwagę, że tych 5 barów nie ma, ale usłyszała, że to nie należy do jej obowiązków. Ciśnienie spadało. Gdy podniesiono alarm, było 2,7 bara; w ciągu 20 min spadło do 0,3 bara.

Co robiliście?

Najpierw szukaliśmy tego tlenu. Przesuwaliśmy łóżka dalej od źródła tlenu. Myśląc, że może w jakimś najdalszym odcinku instalacji coś zostało. Nie było to racjonalne, ale próbowaliśmy. Potem przyszło polecenie, żeby zakręcać kurki z tlenem lżejszym pacjentom, żeby tlenu w instalacji starczyło dla cięższych.

Słucham?

Żeby zakręcać tlen pacjentom, którzy są na maskach i wąsach. Szefostwo: dyrektor, pielęgniarka koordynująca stali przed halą. Coś gestykulowali, ale nam nikt niczego nie wyjaśniał. Do tego przyszło światło. Myśmy przecież biegali, porozumiewaliśmy się krótkimi komunikatami: „Podaj, potrzymaj, idź, przynieś”. „Chodź tu, on jest w gorszym stanie”. To się udzielało. Pacjenci byli podenerwowani. Siadali. Niektórzy wychodzili z łóżek.

Jak reagowali na to zakręcanie zaworów?

To były takie straszne pytania: „Dlaczego mi to robisz? Przecież ja się duszę”.

Chory tak pani zapytał?

Tak, ale ja wykonywałam przecież polecenie. Robiło się coraz bardziej dramatycznie. Krzyki, płacz kobiet. Niektórzy chorzy sami na powrót odkręcali te zawory. Syczało okropnie, ale tam już nie było tlenu. Wyciągali do mnie ręce: „Proszę mnie stąd zabrać” albo prosili „Proszę do mnie podejść”.

Podchodziła pani?

Nie było czasu. Trzeba było ratować tych, co się dusili, szukać butli. Lekarze chodzili i decydowali, kto jest reanimacyjny, a kto nie.

Co to znaczy?

Kogo ratować, a kogo nie.

Pacjenci słyszeli?

Tak, ale nie było czasu, żeby przejść do dyżurki. Trzeba było podejmować decyzję tu i teraz. Musi pan zrozumieć, że to było piekło. Nie było chwili przerwy. Koleżanka pielęgniarka biegnie koło mnie. Patrzę, a ona ma cały kombinezon przesikany. Nie wiem, czy nie wytrzymała, czy puściła moc z powodu wysiłku, ze stresu. Nie było mowy, żeby się przebrać. Wokół krzyki, charczenie, wołanie o pomoc. Gestykulacja robiła wrażenie.

Co pani ma na myśli?

Człowiek bez tlenu jest jak topielec. Oni gestykulowali rękami, pokazywali, że się duszą. Potem już tylko śmierć. Twarz robi się szara, usta sine. Piana. Oczy mętne,

zapadają się. Na naszym oddziale zmarł jeden pacjent, w czasie gdy zabrakło tlenu.

Wrócimy do reanimacji. Komunikat brzmi: „Tego nie reanimujemy”?

Tak.

I pani to słyszała?

Tak.

I pacjent też to słyszał.

Tak.

I?

Złapał moją koleżankę za rękę: „Przeżyłem raka płuc, nie chcę się teraz udusić, uratuj mnie”. Koleżanka poszła szukać butli dla tego człowieka.

Kiedy kryzys minął?

Po 12. Nawet nie wiem, jak stamtąd wyszłam. Wyprowadził mnie kolega, bo nie miał zasłabłam. Wszyscy byliśmy zmęczeni, odwodnieni, w stresie. Siedliśmy przed halą na ławkach i była cisza. Dyrekcja gdzieś wyparowała. Nikt nam nie wyjaśnił, co się stało. Nikt nie zapytał, czy potrzebujemy psychologa. Nikt nie podziękował. Siedzieliśmy tak sami. Dopiero potem, jak wróciliśmy na salę, pacjenci podnosili się na łóżkach. Łapali za ręce, dziękowali. To było niesamowite.

Imię naszej rozmówczyni zmieniliśmy.

Cała rozmowa na: polityka.pl.

Czarna statystyka

Niepokojące dane o wysokiej liczbie zgonów w wyniku zakażenia covid lub chorób współistniejących, do których zaostrzenia (lub zaprzestania leczenia) mógł się przyczynić koronawirus, budzą duże emocje. Prof. Andrzej Horban, krajowy konsultant ds. chorób zakaźnych i szef doradców premiera ds. pandemii, jeszcze niedawno uspokajał, że sięgające każdego dnia liczby 600–700 ofiar to problem „większości państw europejskich”. Ale pod naporem statystyki Eurostatu – świadczącej o tym, że znajdujemy się jednak na czele niechlubnego rankingu – musiał w końcu skapitulować i przyznać, że trzeba „dokładniej przyjrzeć się przyczynom tego stanu rzeczy”. Szczegółowa analiza ma być przeprowadzona dopiero w tym tygodniu.

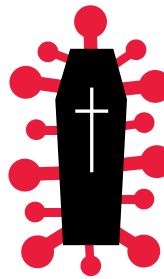
Już jednak wiadomo o kilku czynnikach, które mogą być decydujące. Po pierwsze, te zatrważające dane są z pewnością pokłosiem dużej liczby zakażeń w trzeciej fali, która

szczyt osiągała na początku kwietnia. Wirus taki jak SARS-CoV-2 tragiczne żniwo zbiera zawsze dopiero po dwóch, trzech tygodniach wśród najcięższych chorych, którzy wtedy ulegli zakażeniu. Część z nich próbowała zapewne początkowo leczyć się w domu, nierzadko na własną rękę, nawet bez zgłoszenia na test lub według wskazówek lekarzy POZ, którzy przy lżejszym przebiegu choroby nie mieli ich dokąd kierować. Gdy po 10–12 dniach stan zdrowia gwałtownie się pogarszał, transport do szpitala był nieodzowny – ale niekoniecznie mogła być to placówka wyspecjalizowana w leczeniu powikłań covidowych, zatrudniająca najbardziej doświadczonych lekarzy, lecz taka, gdzie było po prostu miejsce i gdzie ratowanie życia odbywa się w chaosie.

Na tych mniejszych oddziałach, tworzących nieraz *ad hoc* z nakazu wojewodów, często dorywczo pracują teraz lekarze niemający wcześniej doświadczenia z tak niespecyficznymi zakażeniami manifestującymi się

w wieloraki sposób. Jednego dnia dyżur pełni rezydent, drugiego przypadkowy specjalista – w tych warunkach, kiedy zespół medyczny kompletny jest z łapanek, trudno zapewnić ciągłość leczenia, bo dyżuranci stale się zmieniają. Inny czynnik to fatalny stan narządów po zakażeniu covid. Niektórych chorych obciążonych dodatkowymi schorzeniami (jak otyłość, choroby naczyń, zniszczone płuca, np. przez wieloletnie palenie papierosów) o wiele trudniej uratować, zwłaszcza gdy w grę wchodzi dwie wspomniane wcześniej okoliczności: późne zgłoszenie do szpitala w zbyt zaawansowanym stanie i brak przeszkolonej kadry.

Warto pamiętać i o tym, że przez ostatni rok zdrowie Polaków było generalnie zaniedbywane. Ochrona zdrowia skupiła się na walce z koronawirusem, więc gdy teraz zakażenie dopada osobę z powikłaną postacią jakiegokolwiek choroby przewlekłej, przechorowuje tę infekcję dużo ciężiej i narażona jest ona na znacznie poważniejsze komplikacje. (PAW)



To nie 2007

Ludwik Dorn

Socjolog, publicysta, ale też poeta i bajkopisarz.
Były marszałek Sejmu i były członek PiS.



poprzez przyspieszone wybory, a nie powołanie alternatywnego rządu, bo ów alternatywny rząd to byłaby koalicja z LPR i Samoobroną z Januszem Kaczmarskim jako premierem wyrastającym na konkurenta wobec Tuska. To nie było w jego interesie. Wiem to, bo tylko dwie osoby negocjowały wtedy z Tuskiem takie rozwiązanie. Prezydent Lech Kaczyński i ja jako marszałek Sejmu.

Przyspieszone wybory są tematem dnia. Przesądza o tym sytuacja w tzw. Zjednoczonej Prawicy. Zbigniew Ziobro i Jarosław Gowin wiedzą, że niezależnie od tego, co podpisze i na co przysięgnie dziś prezes PiS, to przy układaniu list wyborczych w 2023 r. albo zostaną całkowicie wygumkowani, albo zredukowani. Tym samym w najlepszym razie możliwości wprowadzenia ich kandydatów do Sejmu zostaną zmniejszone do zaledwie kilku posłów. Jarosław Kaczyński nie powtórzy błędów z 2019 r., w wyniku którego każdy z koalicjantów w obozie władzy uzyskał po kilkanaście poselskich mandatów. W związku z tym i Ziobro, i Gowin muszą się nastawiać na samodzielne kandydowanie w najbliższych wyborach albo wejście w jakiś układ koalicyjny nie z PiS. To z kolei sprawia, że muszą zaznaczyć dziś swoją podmiotowość i robią to, kontestując PiS i jego prezesa.

Często dziś się przywołuje przedterminowe wybory z 2007 r., kiedy to, rzekomo, Kaczyński „przelicytował”, PiS stracił władzę i pamięć o tym ma studzić zapęły prezesa do przedterminowych wyborów. Uważam analogię z 2007 r. za nieuprawnioną. PiS nie stracił wtedy władzy w wyborach, bo stracił ją wcześniej – po 6 lipca, gdy rozpadła się koalicja rządowa. Wtedy zarówno PiS z Jarosławem Kaczyńskim, jak i Donald Tusk jako jedyny, który w PO potrafił trafnie ocenić jej interes, mieli wspólny cel. Im obu zależało, aby doprowadzić do przyspieszonych wyborów. Kaczyńskiemu i PiS, bo po 6 lipca nie mieli już władzy, czyli większości parlamentarnej – co więcej, istniało realne niebezpieczeństwo powołania rządu alternatywnego. Tuskwowi z kolei dlatego, że chciał doprowadzić do zmiany sytuacji

Teraz interesy PiS i Platformy są rozbieżne, co wyklucza uchwałę Sejmu o skróceniu kadencji. Każdy miesiąc, w którym partia Kaczyńskiego, dysponując prezydentem, premierem i marszałkiem Sejmu, nie jest w stanie rządzić, osłabia ją, co jest na rękę opozycji. Drugi sposób to nieuchwalenie budżetu w konstytucyjnym terminie i skorzystanie przez prezydenta z prerogatywy skrócenia kadencji Sejmu. Tylko że w takim przypadku PiS przez 4 miesiące musiałby odgrywać farsę sabotowania własnego projektu budżetu, co może się okazać kosztowne wyborczo. Wreszcie trzeci sposób to podanie przez premiera rządu do dymisji i próba blokowania powołania nowego. Jest to dla PiS w miarę proste w pierwszym kroku konstytucyjnym, ale w drugim, gdy premiera powołuje nie prezydent, ale Sejm, rodzi się ryzyko, że wotum zaufania uzyska rząd niepisowski – czy to „techniczny”, czy pozaparlamentarny, a konsekwencją są czystki w aparacie państwowym i spółkach Skarbu Państwa. Rozstrzygające wtedy byłoby stanowisko Jarosława Gowina, który nie będzie musiał głosować, jak przy konstruktywnym wotum nieufności, przeciwko własnemu rządowi, bo nie będzie rządu, natomiast będzie mógł się włączyć w tworzenie nowej konstrukcji rządowej. Wtedy ma miejsce zmiana sojuszy, a nie zdrada, a to w polityce jest co innego.

Ryzykiem jest zarówno kontynuowanie tej sytuacji, jak i próba jej zmiany. To są różne ryzyka, różnie rozłożone w czasie. A to są okoliczności, w których na pozór decydują ludzie, a w rzeczywistości Jego Królewska Wysokość Przypadek.

Przełom w nie-sądzie?

Zapowiadało się na kolejny akt symboliczny: oto Adam Roch – prokurator, który zdaniem Trybunału Praw Człowieka dopuścił się naruszenia zakazu tortur i okrutnego traktowania, przesłuchując kobietę w trakcie porodu – jako sędzia Izby Dyscyplinarnej SN zezwolił prokuraturze na zatrzymanie i doprowadzenie na przesłuchanie sędziego **Igora Tulei**, symbolu oporu wobec upolitycznienia sądownictwa. Rozprawa – z wyłączeniem jawności – trwała dwa dni, bo obrońcy sędziego Tulei składali coraz to nowe wnioski. W końcu, na godzinę przed północą, pojawiło się orzeczenie.

Uzasadnienia słuchało się z rosnącym zdumieniem. Sędzia Roch nie tylko nie zgodził się na zatrzymanie sędziego Tulei, ale też uznał, że prokuratura nie ma podstaw, by stawiać mu zarzuty, bo nie ujawnił żadnych tajemnic, tylko fakty znane opinii publicznej, i w żaden sposób nie zaszkodził śledztwu, które nakazał ponownie wszcząć (ws. głosował w Sali Kolumnowej). Mało tego: zasugerował, że prokuratura powinna się zastanowić, czy

nie wycofać zarzutu. Dostał brawa. Czy to przełom?

Już raz, w pierwszej instancji, Izba Dyscyplinarna z podobnym uzasadnieniem odmówiła uchylenia sędziemu Tulei immunitetu. Orzekł wtedy b. prokurator Jacek Wygoda. Teraz też druga instancja może zgodzić się na zatrzymanie sędziego Tulei. Zaś Izba Dyscyplinarna pozostaje tym, czym jest, czyli zakazanym konstytucją sądem specjalnym, zawieszonym uchwałą trzech połączonych izb SN.

Niektórzy spekulują, że orzeczenie neo-sędziego Rocha to gra. że chodzi o uwiarygodnienie Izby Dyscyplinarnej jako niezależnego pluralistycznego sądu. A zatrzymanie sędziego Tulei niepotrzebnie drażniłoby Unię. Nie można tego wykluczyć. Ale przeciwko tej hipotezie przemawia fakt, że sędzia Roch fundamentalnie skrytykował prokuraturę, twierdząc, że oskarżenie jest bezpodstawne. Trudno uwierzyć, żeby władza zdecydowała się podważyć legalność działania własnej prokuratury. Zresztą Prokuratura Krajowa następnego dnia się odwinęła: przesłała do PAP oświadczenie, w którym zapowiada odwołanie i stwierdza, że „taką decyzją Izba Dyscyplinarna paraliżuje postępowanie” prokuratury. To brzmi jak groźba.



Bardziej prawdopodobne jest to, że Adam Roch bierze pod uwagę, że kiedyś zostanie rozliczony. A zezwalając na zatrzymanie sędziego Tulei, naraziłby się na zarzut pomocnictwa w bezprawnym pozbawieniu wolności. Jako sędzia „z nieprawego łóża”, czyli konkursu przed neoKRS, może się też liczyć z weryfikacją, jeśli rządy bezprawia się skończą. A wtedy zostanie rozliczony przede wszystkim z tego, czy sądził zgodnie z prawem. Wreszcie możliwe jest też, że obudziła się w nim potrzeba bycia przyzwoitym.

Sędzia Igor Tuleya – który orzeczeniem też był zaskoczony – podkreśla, że jakiegokolwiek rozstrzygnięcie zapada w Izbie Dyscyplinarnej, to „to coś nie jest sądem”.

Niestety mimo upływu trzech tygodni od wniosku Komisji Europejskiej prezes Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej nie wypowiedział się w sprawie zabezpieczenia tymczasowego w postaci zawieszenia całości działań Izby Dyscyplinarnej wobec sędziów. „Gdzie są instytucje europejskie?” – pytał RPO Adam Bodnar, który przyszedł pod Sąd Najwyższy w geście solidarności z sędzią Tuleyą. No właśnie.

EWA SIEDLECKA



Biegaj z eobuwie.pl

Dobierz idealne obuwie biegowe.





© ALEXEI DRUZHININ/SPUTNIK RUSSIA/EAST NEWS



© PAP/DPA

Ocieplony wizerunek Putina, a poniżej – razem z Nawalnym – w wersji z kwietniowego karnawału w Düsseldorfie.

Putin wśród bawołów

To musiał być bardzo długi tydzień dla Władimira Putina – trochę na własne życzenie. Okazało się bowiem, że nawet jego specjaliści od geopolityki nie są w stanie wszystkiego zaplanować. *Clou* programu miała być Ukraina. Prezydent Wołodymyr Zełenski od jakiegoś czasu prowokował Moskwę, m.in. ograniczając rosyjskie wpływy medialne w kraju i wracając do sprawy ukraińskiego członkostwa w NATO. Zbiegło się to – jak twierdzi ekspert od Rosji Mark Galeotti – z generalnym zamysłem Moskwy, aby przetestować Zachód. Ale okoliczności nieco wymknęły się spod kontroli.

W ciągu trzech tygodni Rosjanie przerzucili na granicę z Ukrainą prawie 100 tys. żołnierzy – oficjalnie: na rutynowe ćwiczenia. Kijów odebrał to jako groźbę kolejnej inwazji i zaczął szukać wsparcia na Zachodzie. Dostał je, szczególnie z Waszyngtonu, i sam Zełenski zaproponował Putinowi spotkanie. Prezydent Rosji odpowiedział, że może go przyjąć na Kremlu, ale pod warunkiem że najpierw spotka się z przywódcami separatystycznych „republik” z Doniecka i Ługańska. Do spotkania więc prędko nie dojdzie, jednak Rosjanie zrobili krok wstecz – 22 kwietnia zapowiedzieli wycofanie wojsk.

Moskwa w ten sposób przypominała światu o swoim znaczeniu i dowiedziała się tego, co chciała wiedzieć – czyli że Europa w sprawie Ukrainy tradycyjnie ogranicza się do oświadczeń, natomiast prezydent USA Joe Biden wydaje się twardszym graczem. W końcu nazwał Putina „mordercą” i nałożył na Rosję sankcje

finansowe w związku z ingerencją jej służb w przebieg ostatnich amerykańskich wyborów. Jednocześnie zaproponował Putinowi spotkanie na neutralnym gruncie. Rosjanin natychmiast się zgodził – dla niego to idealna okazja do podkreślenia rosyjskiej mocarstwowości (być może również do oczarowania Amerykanina). Zmiana amerykańskiego tonu i wyciągnięta ręka Bidena zmusiła jednak Putina do deeskalacji na granicy z Ukrainą, aby nie psuć atmosfery przed spotkaniem na szczycie.

Szczególnie że Rosja ma też niespodziewany problem z Czechami. 14 kwietnia premier Andrej Babiš ogłosił, że według czeskich służb Moskwa odpowiada za wysadzenie w powietrze składu amunicji na wschodzie kraju w 2014 r. (amunicja ta miała trafić na Ukrainę). Według Czechów dokonali tego ci sami agenci GRU, którzy w 2018 r. nieskutecznie próbowali otruć w Wielkiej Brytanii byłego rosyjskiego szpiega Siergieja Skripała. Czesi natychmiast wyrzucili kilkunastu rosyjskich dyplomatów, Rosja odpowiedziała, usuwając czeskich. W finale tej eskalacji Czesi zapowiedzieli, że rosyjska korporacja Rosatom może zapomnieć o rozbudowie czeskiej elektrowni jądrowej, a Pragę ma opuścić 70 Rosjan. Czesi apelują do innych państw Unii o solidarność i wydalenie chociaż po kilku rosyjskich dyplomatów.

Trudno się dziwić, że w takich okolicznościach Putin w swoim dorocznym orędziu, 21 kwietnia, skupił się na tematach społecznych. Zapowiedział m.in. rosyjski odpowiednik programu 500+, pochwalił służby medyczne za walkę z pandemią. Jesienią w Rosji odbędą się wybory do Dumy, a sondaże nie są optymistyczne dla partii Putina. Jedną Rosja nieoficjalnie może liczyć na ok. 25-proc. poparcie. Poprzednim razem, gdy badania pokazywały podobne wyniki, Rosja napadła na Ukrainę i anektowała Krym. Teraz może się skończyć połknięciem pograżonej w kryzysie Białorusi. Podczas wspomnianego orędzia Putin mówił o „czerwonych liniach”, których – w domyśle – Zachód nie powinien przekraczać, czyli nie powinien ingerować w miejscach, które są dla Rosji „bliskie”. W takim wypadku, jak zapowiedział, Rosja „odpowie asymetrycznie, szybko i ostro”.

Zbliżające się spotkanie z Bidenem (data i miejsce są jeszcze nieznane) sprawi jednak, że w najbliższych tygodniach Rosja prawdopodobnie „schowa pazury”, jak napisał dziennik „The Moscow Times”. Być może to już uratowało życie Aleksieja Nawalnego. Lider opozycji, który w zeszłym roku uniknął śmierci z rąk rosyjskich agentów i nowicjaka, w styczniu wrócił do Rosji z leczenia w Niemczech i został skazany na podstawie sfałszowanych zarzutów na 3,5 roku więzienia w kolonii karnej. Nawalny jest ponoć w fatalnym stanie, bo przez prawie miesiąc głodował, domagając się spotkania ze swoim lekarzem, do czego ostatecznie doszło przed weekendem. Przeciwno takiemu traktowaniu opozycjonisty w zeszłym tygodniu na ulice wyszło kilkanaście tysięcy Rosjan.

Putin oczywiście nie wspominał o Nawalnym podczas orędzia, ale – zdaniem Galeottiego – nie może sobie pozwolić na jego śmierć. Przynajmniej do spotkania z Bidenem. Za to moskiewska prokuratura zwróciła się do stołecznego sądu miejskiego z wnioskiem o uznanie stworzonych przez Nawalnego fundacji za organizacje ekstremistyczne. Prawdopodobieństwo, że sąd odrzuci wniosek prokuratury, jest znikome. W ten sposób fundacje Nawalnego mogą trafić na tę listę np. obok Państwa Islamskiego.

Rosja Putina, jak wielki kot wśród bawołów, próbuje więc wyłuskiwać słabsze jednostki, licząc, że te silniejsze – za silne dla niej – nie zareagują. Tak było z Ukrainą, tak – na innym poziomie – jest dziś z Czechami. Tak również kiedyś może być z Polską, która akurat niespecjalnie okazuje solidarność z południowym sąsiadem. Podczas gdy Moskwa straszy Kijów i Pragę, Berlin ani myśli rezygnować z Nord Stream II, a premier Saksonii Michael Kretschmer rozmawia na Kremlu w sprawie zakupu rosyjskiej szczepionki. Niemcy apelują, aby tych spraw nie łączyć. To Putinowi wystarczy.

ŁUKASZ WÓJCIK

Indie: wołanie o tlen!

Główny ciężar światowych zmagania z pandemią wzięły teraz na siebie Indie. Liczba zgłaszanych zakażeń przekroczyła tu rekordowe 350 tys. dziennie – i ponad 3 tys. zmarłych (na 1,4 mld ludności). Ale nawet te dane nie oddają grozy sytuacji. Jeszcze w grudniu duże badania przesiewowe w całym kraju wykryły, że 21 proc. populacji ma przeciwciała, a więc przeszło chorobę, podczas gdy według zgłoszeń miało zachorować tylko 1 proc. Hindusów. Te dysproporcje potwierdzają inne analizy: liczba zakażeń jest nawet 30 razy większa niż w statystykach.

Niestety podobnie jest z ofiarami śmiertelnymi; ich liczbę trzeba raczej mnożyć przez 20. Odnotowywani są ci, którzy umierają w szpitalach, zatłoczonych tak, że nierzadko łóżko dzieli dwóch pacjentów. Większość umiera w domu, bo przepustką do usług medycznych jest test, a system się zapchał, na wyniki czeka się kilka dni. Media społecznościowe pełne są bezradnych błagań o pomoc: żeby załatwić testy, karetkę, szpital, remdesivir, tlen czy choćby samą butlę. Powstał gigantyczny czarny rynek. Poszczególne stany oskarżają się o kradzież zapasów tlenu i porywanie ciężarówek, a 11 stanów (na 26), gdzie rządzi opozycja, ma pretensje do stolicy, że rozdziela tlen po uważaniu, więcej swoim, i że brakuje koordynacji, bo walka z covidem została zdecentralizowana.

Jak to się stało, że liczba zachorowań od końca marca nagle zaczęła się pięć pionowo w górę? Chyba za gładko przeszła



Tegoroczne święto Kumbh Mela: miliony wiernych oczyszczają się w wodach Gangesu.

pierwsza fala. Indie wcześniej i bardzo brutalnie wprowadziły lockdown, po wrześniowym szczycie zakażeń stosunkowo szybko przyszło wypłaszczenie krzywych – i odtrąbiono sukces. Premier Modi, sprawny populistyczny orator, wziął ten triumf na siebie, umieścił w narodowej hinduistycznej obudowie i ogłosił wielkie otwarcie. Po fatalnych dla całej gospodarki miesiącach odmrażanie przyjęło z entuzjazmem. Ruszył biznes, wielkie imprezy sportowe (w połowie marca w Guźdaracie 130 tys. fanów dwa razy kibicowało Indiom w meczu krykieta z Anglią) – i jeszcze większe pielgrzymki. Od stycznia ruszyły do Haridwaru u podnóża Himalajów na trzymiesięczne największe święto hinduizmu Kumbh Mela, Wielkiego Dzbana, kiedy to miliony wiernych oczyszczają się w wodach Gangesu. Święto, obchodzone tu co 12 lat, zostało za radą astrologów o rok przyspieszone, a Modi zachęcał do uczestnictwa. Kiedy zaczął się teraz dystansować, było za późno. W 6 stanach, od Zachodniego Bengalu począwszy,

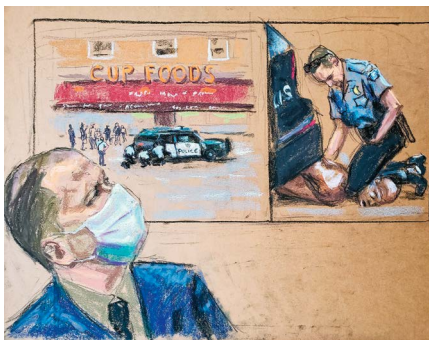
ruszyły teżżywione wiecowe kampanie przed lokalnymi wyborami.

Jeszcze w styczniu panowała także euforia szczepionkowa, w duchu *atmanirbharty*, samowystarczalności: Indie są ich największym producentem na świecie i mają kolosalne doświadczenie praktyczne. Media nazywały Modiego guru szczepionek, kraj prowadził dyplomację szczepionkową, podsyłając dawki sąsiadom. Ale szczepienia ruszyły bardzo wolno, do tej pory dwie dawki otrzymało 1,8 proc. populacji, a i tak szczepionek zaczęło dramatycznie brakować, bo w porę nie rozkręcono produkcji. Teraz zakazano eksportu i ruszono po rosyjskiego Sputnika. Podczas pierwszej fali powstała teoria, że Indie stosunkowo gładko radzą sobie z covidem, bo mają rodzaj naturalnej ochrony: są bardzo młodym społeczeństwem, mieszkającym głównie na wsi i – z powodu ogólnej słabej higieny – z wrodzoną odpornością na infekcje. Długa fala mocno ten pewnik podważyła.

Policjant winien zabójstwa

W erdykt ławy przysięgłych w Minneapolis, która policjanta **Dereka Chauvina** uznała za winnego zamordowania George'a Floyda, powitano w Ameryce z radością. Nadużywanie siły przez funkcjonariuszy z tragicznym skutkiem, zwłaszcza wobec czarnych, rzadko znajduje epilog w sądzie i jeszcze rzadziej tak się kończy, więc pojawiła się nadzieja, że coś się wreszcie zmieni. Ale przypadek z Minneapolis odbiega od normy. Dowody przeciw Chauwinowi były zbyt przytłaczające, jego okrucieństwo zbyt oczywiste, by nie zapadł wyrok skazujący. Nawet związek zawodowy policjantów uznał proces za sprawiedliwy.

Większość podobnych historii nie poddaje się tak jednoznacznym ocenom. Policjanci nie zabijają zwykle, dusząc kolanem swe ofiary. Większość zabójstw to wynik użycia broni palnej. Czasem zbyt pochopnego, ale trudno nieraz osądzić decyzję podjętą w ułamku sekundy. W odruchu samoobrony – albo, tak jak kilka dni temu,



w obronie kobiety zaatakowanej nożem przez 16-latkę. Policjanci wzywani do interwencji wiedzą, że czeka ich często konfrontacja z osobami uzbrojonymi w pistolet – który miał przy sobie i z którego strzelał wcześniej 13-latek w Chicago, zabity przez funkcjonariusza. Dlatego są szkoleni, żeby samemu nie dać się zabić, pozwala się im na strzelanie w tułów, i dlatego zachowują się jak żołnierze na wojnie lub kowboje

w westernie. Tak działa policja widząca zagrożenie w każdym czarnym mężczyźnie, w kraju bez ograniczeń w dostępie do broni i z kultem przemocy.

Mimo wrażenia, że liczba policyjnych zabójstw w USA rośnie, jest ich mniej niż w przeszłości. Można sobie wyobrazić, jak wiele z tego, co działo się w amerykańskich miastach, umykało uwadze mediów przed epoką smartfonów i kamer w policyjnych mundurach. Izba Reprezentantów uchwaliła ustawę o reformie policji, która ma zapobiegać nieuzasadnionemu używaniu siły i broni palnej wobec czarnych. Ustawa utknęła w Senacie, gdzie blokują ją Republikanie. Główną kością niezgody jest żądanie Demokratów, aby pozbawić policjantów immunitetu od pozwów za zabójstwa lub ciężkie zranienia przy aresztowaniu. Wobec społecznej presji, by ograniczyć skalę tragedii, niewykluczone, że jakąś reformę uda się uchwalić. Jeżeli jednak liczba przestępstw z użyciem broni – których znowu przybywa – będzie nadal rosła, poparcie dla surowszego rozliczania policji za brutalność znowu spadnie.



Dawka z działki

Emerycy jeszcze chcą w coś włożyć ręce, ale dla młodszych na działce liczy się rekreacja. Działki znowu stają się dowodem prestiżu i miejscem ucieczki przed pandemią.

za Kazimierza, mieszkają na pokoji i dostają przydział na ogródek. Wanda pracuje do osiemnastej, na fajrant chwytą grabki i maszeruje przez całe miasto. – *Na samym początku był perz. Jeden wielki perz* – widzi z wehikułu swoją działkę wytyczoną na popegeerowskim polu. Najmuje z Kazimierzem rolnika z chabetą. Grunt się opiera, koń staje dęba, Wanda jeszcze do dziś jest tym westernem przerażona, choć minęło pół wieku.

***W radosnych blaskach wiosny rozkwita
Nasza Zielona Rzeczpospolita****

M

ZBIGNIEW BOREK

archewka, cebula, sałatka, rzodkiewka, fasola, pomidory i ogórki urosną po prawej. Ziemia pod grządki już uszykowana, jutro Wanda Dzikowska kupuje nasiona. Lewa strona jest rekreacyjna: trawa i rabatki, pergole i drzewka owocowe. Gdybyśmy mieli wehikuł czasu, widzielibyśmy, jak lewa się kurczy, prawa rozrasta. Ujrzelibyśmy panią Wandę, gdy prowadzi sklep rybny, kieruje parterem domu towarowego, jest początkującą ekspedientką, wychodzi

Ogródki działkowe miały wtedy zapewniać ludziom pracę i ich rodzinom aktywny wypoczynek, a także, jak chciała ustawa z 1949 r., polepszyć byt „drogą uzyskania ziemiopłodów na potrzeby własnego gospodarstwa domowego”. Komuna uprawiała propagandę pełną gębą: ogród pani Wandy został Piastowskim (bo Strzelce Krajeńskie to Ziemie Odzyskane), działki w Słupsku dostały imię Róży Luksemburg, w Gdańsku – Iwana Miczurina, sadownika z radzieckiej propagandy, a Tadeusz Kościuszko jako patron rozplenił się po całym kraju (walczący z kosynierami o wolność pasował jak ułaf do robotniczo-chłopskiego projektu). Kolejarz, Budowlaniec, Metalowiec – takie nazwy nikogo nie dziwiły, bo zakłady pracy były opiekunami działek. I to hojnymi, np. podkrakowska Huta im. Lenina na ogrody – o nazwie Hutnik, ma się rozumieć – w latach 50. wyłożyła 200 tys. zł.



Od lewej: warszawskie ogródki działkowe od strony praskiej. Relaks działkowiczów w latach 80.

Wszyscy udawali, że działki są nową zdobyczą peerelowskiego „świata pracy”, ale prawda była inna. „Tam członkowie na pół obnażeni uprawiali gimnastykę, treningi, leżakowanie lub też brali kąpiele w (...) wannach napełnionych muliem torfowym” – tak pierwszy ogród w Polsce, Kąpiele Słoneczne w Grudziądzu, opisuje jego kronika. W 1897 r. założył go lekarz Jan Jalkowski. Idea doktora „spotkała się z drwinami i docinkami, a nawet byli i tacy, którzy uważali ją za wielce niemoralną”.

Uprawy pojawiły się dopiero na „kilku placach bez użytku leżących” za rogatkami mokotowskimi. Około 1900 r. wyprosiła je na ogródki Kazimiera Procek, działaczka katolicka z doktoratem filozofii uniwersytetu w Lozannie. Tak narodził się Ogród Działkowy Tramwajarzy (obecnie im. Obrońców Pokoju) przy ul. Odyńca. „Idzie tu o to, żeby robotnikowi dać możliwość cieszenia się nie tylko świeżym powietrzem, ale też i uczuciem, że i on coś na własność posiada; dodać zdrowia jemu i rodzinie, ułatwić wychowanie dzieci nie w ciasnej dusznej izbie lub na podwórzu w niechlujnym domu, gdzie jest najczęściej szkoła występku, ale w lepszych warunkach. Na koniec jest to na widoku, żeby praca (...) robotnika (...) i jego rodziny mogły być zużyte na wyżywienie całej rodziny” – klarował na początku XX w. „Ogrodnik Polski”. Natomiast dr Władysław Kubik marzył, że ogrody dźwigną moralność: „Brak tanich rozrywek staje się powodem szukania ich w karczmach, skąd wychodzi cała demoralizacja, a trudno z nią walczyć, skoro nie mamy na razie takiego środka, który by większe masy robotnicze, całe rodziny zajął i zabawił, połączył

piękne z pożytecznym. Ogród robotniczy przynajmniej w części, od wczesnej wiosny do późnej jesieni, spieszy z pomocą”.

W II RP Towarzystwo Ogródków Rodzinnych w Warszawie błogosławił prymas Polski August Hlond, a organizacja syjonistyczna He-Chaluc (z hebrajskiego: osadnik) w tzw. hachszarach uczyła młodych Żydów ogrodnictwa przed wyjazdami do palestyńskich kibuców. Działki istniały w każdym województwie i dużym mieście. W 1939 r. było ich 48 tys. Wiele pomogło przetrwać głód okupacji, ukrywać zbiegów, prowadzić konspirę. Nowy ustrój je „uspołecznił” – w praktyce oddał koncesjonowanym związkowcom, a ci przydzielali działki pracownikom, nieraz po znajomości.

Dobro ludzkości w hymnie swym śpiewa Sztandar jej dumnie powiewa

Czasem łamie w krzyżu, strzyka w kolanach, ale Wanda Dzikowska i tak wsiada z Kazimierzem na rowery i pedałują na działkę, żeby odetchnąć. Kilka alejek dalej Tadeusz Rzepka bywa na swoich czterech arach prawie codziennie. – *Do emerytury zostało dwa miesiące, wtedy „prawie” zniknie* – śmieje się. Grzebie w ziemi, a jak ma dość, wędkuje (jeziorko za płotem obrasta kładkami). Jego syn, 42-letni nauczyciel Sebastian Rzepka, po sąsiedzku stawia z żoną na nicnierobienie. Ich działkę porastają głównie kwiatki i trawka, dzieciom wystarczy. Sławomir Stefański, 68-latek z Warszawy, który „urodził się na działce”, bo rodzice ciągli go tam od małego, na ogródku odrywa się od rzeczywistości. ►

► – Gdyby ktoś mnie zapytał o działkę 20 lat temu, bym go wyśmiała, że jestem miastowa i nie będę babrać się w ziemi, a teraz każda glizda to pełna radość – mówi Katarzyna Przybylska z Krakowa. Działka to jej odskocznia. Ciszy, spokoju i fajnych sąsiadów potrzebowała minimum trzy razy w tygodniu, aż zdecydowała się na dom z ogrodem, żeby mieć to na co dzień.

„Gdzież można uciec przed miastem i samym sobą, jeśli nie na działkę? To kryjówka doskonała, idealna samotnia, a jednocześnie przestrzeń intensywnych kontaktów z innymi. Codziennie działek są bramki i regulaminy, ale są to także księstwa wolności osobistej (...). Ogródki działkowe służą transferowi wiedzy, a jednocześnie pozostają areną śmiałych eksperymentów, nie tylko ogrodniczych. Paradoxy działkowego świata pokazują, że ta zieleni mieni się wszystkimi barwami, a spokój bywa przetykany niepokojem egzystencji lub obawami o kradzież hydrantu” – pisze Magdalena Zych, antropolożka kultury. Do tego krąży nad ogrodami duch rywalizacji. Konkursy na okazały ogród, altankę i uprawy



Pierwsze prace na świeżo wygrodzonych działkach w Warszawie, 1981 r.

były popularne za komuny, są i za demokracji. Przed wojną żydowscy działkowcy pękali z dumy, gdy na Grochowie wyhodowali trzcinę znaną z Palestyny. Polska Kronika Filmowa w epoce stalinizmu pokazywała ogrodników Mokotowa z egzotycznymi melonami. Media społecznościowe pełne są okazji dyń, pomidorów, ogórków, a działkowcy z Opola tak byli dumni z siebie, że nazwali ogród swoim imieniem – Działkowcy Opolskiego.

Nie wszystkim jednak można się chwalić. „Między rajem a śmietnikiem” – zatytułował analizę architektury ogrodów Saskiej Kępy i Grochowa prof. Roch Sulima. Jak zauważył kulturoznawca, w latach 50. i 60. dominował styl altankowy „raczej tylko z nazwy”, czyli składziki na narzędzia, ze sklejek, blachy i propagandowych transparentów. Przy nich powstawały dobudówki, które lektor Polskiej Kroniki Filmowej porównał do „slumsów, jakimi są obłepione wielkie metropolie Południa”. W latach 70. wkroczył styl pseudodaczowy, a kolejną dekadę opanowały domki.

– Potem warzywne zagony zamieniały się w trawniki, inwazja iglaków wyparła drzewa owocowe, pojawiły się lampy, pergole i skalniaki, instalacje do grillowania i wypoczynku – mówi prof. Sulima POLITYCE. – Emerycka społeczność jeszcze chce w coś włożyć ręce, ale dla młodszego pokolenia liczy się głównie rekreacja. Działki przestają być składzikami, a stają dowodem zamożności, co widać też na ogródkowych parkingach. Obserwujemy symboliczny koniec transformacji: domykają się rytuały wycofania u tych, którzy uciekali na działki, bo nie radzili sobie w nowym ustroju, a otwierają rytuały sukcesu, w których coraz

droższa działka jest przejawem prestiżu. Na to nakładają się atawistyczne instynkty posiadania ziemi czy skrawka bezpiecznej przestrzeni w dobie koronawirusa.

W swoich szeregach ma ludzi ze stali Wierni jej wszyscy są wielcy i mali

„Chłopie, chcesz być szczęśliwy dwie godziny – wypij ćwiartkę, chcesz być szczęśliwy przez miesiąc – ożeń się, chcesz być szczęśliwy przez całe życie – to se weź działkę...” – mawiają na Śląsku. „Najlepszym wiosennym lekarstwem jest – działka. /Działka nam zdrowie wprowadza do ciała, Gdy w łapki się chwyci szpadelek, lub grabki, Znikają bronchity, katary i sapki” – rymował Ludwik Jerzy Kern, a Ten Typ Mes rapował: „Do niedawna nie mogłem zrozumieć o co chodzi tym działkowcom / I nagle dostałem klucze i nowy adres zeszlą wiosną (...)/ Jestem kowbojem w środku miasta, panem rancza / Okopuję się na szanach działki, gdy zgiełk wykańcza”. Antropolog kultury Patryk Zakrzewski zauważa (cytat za Culture.pl), że ekspansję na działki podjęli hipsterzy: „Legitymacja działkowca przestała być duchologicznym artefaktem ze świata cioć i wujków, a oznaką przynależności do awangardy świadomych konsumentów. Bo coś może być bardziej organic, eco-friendly, local i fair trade niż marchewki z własnej grządki?”.

Gdyby przyjąć rachunki Polskiego Związku Działkowców, to działkowcem jest co 10. Polak: mamy 966 tys. działek, na każdą ma przypadać czteroosobowa rodzina. Na Facebooku roi się od grup krajowych i zagranicznych, regionalnych i powiatowych, osobno grupują się miasta i ogrody. Jedną z największych (96 tys. członków, 3 tys. postów miesięcznie) są Działkowicze i Ogrodnicy. – Miała być krakowska, zrobiła się międzynarodowa: 1825 członków jest z Niemiec, 1422 z Wielkiej Brytanii, 347 z USA, 334 z Holandii – wylicza administrator Katarzyna Przybylska. 76 proc. stanowią kobiety, a najbardziej popularny wiek to 35–44 lata („bo młodzi uaktywnili się w pandemii”).

Czy aksamitki wytrzymują przymrozki? Co może się stać z mimi siewkami kalarepy? Czy przy temperaturze na zewnątrz minus dwa pomidory w tunelu przetrwają? Pytania Anny, Katarzyny, Mateusza doczekały się na Działkowiczach i Ogrodnikach rzeczowych odpowiedzi. Dominujące tematy to cięcie drzew i krzewów, nasadzenia i rozsady, opryski i nawożenie, warzywa, owoce, trawnik, altanka. Popularne są posty o zwierzątkach, przepisach kulinarnych i pytania „co to za roślina”, rekordy bije tag „chwałę się”. Regulamin grupy zabrania polityki – ostatnio ban dostała osoba, która po podwyżkach opłat napisała, że „tak się płaci w kaczystanie”. Katarzyna Przybylska: – Ogród ma łączyć, a nie dzielić.

Składa jej każdy daninę ze swej pracy wszyscy poddani dla niej jednacy

„Działkowicz, widząc jak w przyrodzie rządzą nieubłagane prawa ewolucji, nabiera jasności sądu na wszelkie zagadnienia społeczne, a nawet staje się niedostępnym dla wszystkich doktryn rewolucyjnych, tworzonych zwykle przez ludzi nieobcujących z przyrodą” – przekonywało branżowe wydawnictwo przed wojną, a PZD deklaruje, że stroni od politycznych ideologii. Według statutu instytucja jest na wskroś demokratyczna: działkowcy wyłaniają zarządy w wyborach, wybiera się też delegatów, ci wybierają ogólnopolskie władze. Gdy jednak niespełna dekadę temu wybuchł konflikt wokół orzeczenia TK (zwiększało wpływ gmin na tereny ogrodów), na monolocie pojawiły się pęknięcia, ogrody otworzyły się buntowały. „W praktyce większość zarządów nie zmienia się od lat. Zaskakująco duży odsetek działaczy to roczniki jeszcze trzydzieste, zdumiewająco wielu ma podobną ścieżkę kariery: milicja, wojsko, prokuratura i sądownictwo albo służby PRL. Działkowcy narzekają często na specyficzny folklor; walne

© JERZY MICHAŁSKI/RSWF/FORM

zebrania trwają zwykle wiele godzin, do końca – czyli do wyborów – wytrzymują najwytrwalsi” – opisywała wówczas POLITYKA.

Na ogrodzie Piastowskim w powiatowych Strzelcach nie wszyscy nawet wiedzą, czy należą do PZD, kto nim rządzi i że mogą to zmienić. Czasem coś między działkowcami iskrzy, komuś za głośno gra muzyka czy nie pachnie cudzy grill, ale w razie zagrożenia potrafią się zmobilizować. Plagę kradzieży z lat 90. ograniczyli, zamykając ogrody na klucz i wzmagając sąsiedzką czujność. Na falę krytyki może liczyć polityk, który opowiada, że działki hamują rozwój miast. Gdy deweloperzy próbują wejść na tereny działek, protest jest jak w banku. Tak było przed rokiem w centrum Poznania, kiedy miała zniknąć część ogrodów Bogdanka, dwa lata temu w Gdańsku, gdzie działkowców chciano przesiedlić na Wyspę Sobieszewską, czy pięć lat temu w Krakowie, gdy planowano ich wyrugować ze Starego Bieżanowa. – *Konfliktów będzie więcej, formy się zaostrzą. Deweloperzy chcą kolonizować ogródki betonem, z drugiej strony radykalizują się ekolodzy, a działkowcy, zwłaszcza starsi, demonstrować będą zawsze, bo bronią swojej tożsamości* – uważa prof. Sulima.

Holdem Działkowców swoich okryta Wiwat Zielona Rzeczpospolita!

Zdaniem ekspertów ogrody powinno się uwzględnić w polityce zagospodarowania przestrzennego, ochronie środowiska, edukacji ekologicznej. Taka myśl przyświecała autorom projektu

„Park Bielany-co-Niedziela” z ogrodem Sady Żoliborskie, jednym z najprężniejszych w Warszawie. Już dziś są tu otwarte ciągi spacerowe i toalety, prowadzi się działalność edukacyjną, a najstarsi działkowcy mogą liczyć na niższe opłaty i wsparcie w pracach fizycznych. Eksperti z SGGW dostrzegli w tym olbrzymi potencjał i kapitał społeczny, który chcieli sprzęgnąć z okolicą: Kępą Potocką, kampusami uczelni, szkołami, przedszkolami i osiedlami. Choć minęło siedem lat i projektu nie próbowano nawet wdrożyć, to jego współautorka dr hab. Beata Gawryszewska twierdzi, że przed takimi rozwiązaniami nie ma ucieczki: – *Rośnie świadomość mieszkańców, że miasta należą do nich, za tym idzie presja na wdrażanie przyjaznych rozwiązań. Zmiany są powolne, zwłaszcza w naszym kraju, ale nieuchronne.*

Na razie rządzą u nas tradycyjne działki. – *Dopóki sił starczy* – Wanda Dzikowska wie, jak długo będzie uprawiała swoja. Nie robi już kompotów, nie pakuje ogórków w słoiki, nie wzdraga się przed kupnem nowalijek. Nie chodzi jej też o to, żeby zaoszczędzić: idzie do sklepu po sadzonkę, a wychodzi z pięcioma. Gdy przyjeżdżają wnuki z Manchesteru, zaraz meldują się na działce, u siebie takiej przecież nie uświadczą. Pani Wanda cieszy się wtedy jak dziecko, oddycha razem z działką, jakby znów była nieopieczoną ekspedientką, która dorwała po pracy kawałek swobody.

ZBIGNIEW BOREK

* Śródtytuły to słowa hymnu działkowców autorstwa Zofii Drwęckiej-Doeringowej „Nasza Zielona Rzeczpospolita” z 1936 r.

Działkowanie w liczbach

W Polsce jest prawie 5 tys. ogrodów działkowych, w których znajduje się 966 tys. działek zajmujących 44 tys. ha. 85 proc. działek leży w miastach.

CENY

Ceny działek zależą od wielu czynników: infrastruktury (prąd, woda, oświetlenie alejek itp.), rodzaju i ilości nasadzeń, stanu utrzymania, ale przede wszystkim od lokalizacji ogrodu, jego powierzchni i od altanki. W maju zeszłego roku Money.pl wynotował rekordy cenowe za działkę w dużych miastach: Gdańsk – 200 tys. zł, Warszawa – 198 tys., Bydgoszcz – 100 tys., Wrocław, Kraków – 95 tys., Olsztyn – 94 tys. Pandemia nakręciła popyt na działki w całym kraju. Ceny podskoczyły raptownie już podczas pierwszej fali – nie wszędzie jednakowo, ale nigdzie nie spadły. Potem już tylko rosły.

ROZMIAR MA ZNACZENIE

Powierzchnia działki. Od 100 do 500 m kw. – taką powierzchnię działki wyznaczyła ustawa o pracowniczych ogrodach działkowych z 1949 r. W praktyce działki nie miały mniej niż 300 m kw. Wyjątkiem były tzw. ogrody czasowe, w których PZD za zgodą gminy mógł wytyczyć działki o powierzchni nawet 1500 m kw. Zgodnie z obecnymi przepisami powierzchnia działki nie może

przekroczyć 500 m kw. (dolnej granicy już nie ma).

Wymiary altan. Po raz pierwszy zostały określone w 1965 r.: do 12 m kw. Od 1977 r. było to już do 20 m kw., wyznaczono też dopuszczalną wysokość – 3 m. W latach 1982–86 różnicowano altanki w granicach miast (do 20 m kw.) i poza nimi (do 35). Limit wysokości w obu przypadkach wynosił 4 m. W latach 1987–94 dopuszczalną wysokość podniesiono do 5 m, ale tylko dla altan o dachu dwuspadowym, którego płaszczyzny stykały się pod kątem ostrym. Przepisy były modyfikowane jeszcze kilka razy. Od 2015 r. altanka bez względu na lokalizację może mieć do 35 m kw. oraz do 5 m wysokości przy dachu stromym i 4 m przy płaskim. Do powierzchni zabudowy nie wlicza się tarasu, werandy lub ganku, o ile ich łączna powierzchnia nie przekracza 12 m kw.

Wysokość ogrodzenia pierwszy raz zapisano w przepisach w 1959 r.: ogrodzenie do 75 cm mogło jedynie oddzielać działkę od alejki. W 1977 r. limit podwyższono do 1 m i taki też obowiązuje dziś, ale ogrodzić się można także od sąsiadów.

OGRÓDKOWE PRAWA

Koszty utrzymania. Przy przejęciu działki płaci się wpisowe i opłatę inwestycyjną. Wysokość wpisowego ustala PZD, obecnie

to 120–300 zł w zależności od ogrodu.

Opłatę inwestycyjną ustala co roku zarząd ROD. Składka członkowska wynosi 18 gr za m kw. działki.

Działka nie należy do działkowca. Określenie „właściciel działki” jest potoczne i nie odzwierciedla stanu prawnego. Działki znajdują się na gruntach stanowiących własność Skarbu Państwa, samorządów i stowarzyszeń ogrodowych. Na mocy ustawy o rodzinnych ogrodach działkowych z 2013 r. Polski Związek Działkowców został stowarzyszeniem ogrodowym i to on oddaje działki w dzierżawę. Działkowiec jest więc tylko właścicielem altanki oraz nasadzeń – i to może odsprzedać wraz z prawem do dzierżawy działkowej.

Działki nie można odziedziczyć. Zgodnie z ustawą o ROD prawo do użytkowania działki wygasa po śmierci działkowca i nie podlega dziedziczeniu. Pierwszeństwo w ubieganiu się o możliwość korzystania z działki przysługuje jednak małżonkowi, który powinien złożyć oświadczenie o wstąpieniu w prawo do dzierżawy.

Po małżonku pierwszeństwo mają pozostałe osoby z najbliższej rodziny, np. dzieci.

Działka nie jest miejscem do mieszkania. Na terenie działki obowiązuje zakaz zamieszkiwania oraz prowadzenia działalności gospodarczej lub „innej działalności zarobkowej”.

Socjal już tak nie cieszy

PRZEMYSŁAW SADURA, SŁAWOMIR SIERAKOWSKI

Państwo opiekuńcze?

Tak. Ale bez rozdawnictwa.

Koniec nietykalności programu 500 plus. PiS kończy się socjalne paliwo. Polacy chcą nowej polityki społecznej i lepszej ochrony zdrowia – oto niektóre wnioski z badania, które relacjonujemy. Jakie to może mieć polityczne skutki?



ILUSTRACJA BARTEK KIEŁBOWICZ

ZŁOTY A SKROMNY

Badania „Polityczny cynizm Polaków” pokazały, że wszystkie elektoraty oczekują od swoich partii budowy państwa opiekuńczego. Możliwe są trzy klasyczne modele: preferowany przez większość konserwatywny (Niemcy), liberalny (Wielka Brytania) i socjaldemokratyczny (Skandynawia). Po stanowiliśmy przyjrzeć się temu bliżej, pytając Polaków o ich stosunek do usług publicznych.

Badania możliwe dzięki wsparciu FES zostały przeprowadzone w XI–XII 2020 r., składały się z sondażu CAWI realizowanego przez Kantar (N=1500), 30 telefonicznych indywidualnych wywiadów pogłębionych oraz realizowanych tradycyjnie grup fokusowych (połowa w metropolii, reszta w małych miastach i na wsiach). Wyniki przedstawiamy w postaci tez. Ilustrujemy je wypowiedziami badanych (drukowane kursywą) z wywiadów pogłębionych i grup fokusowych.

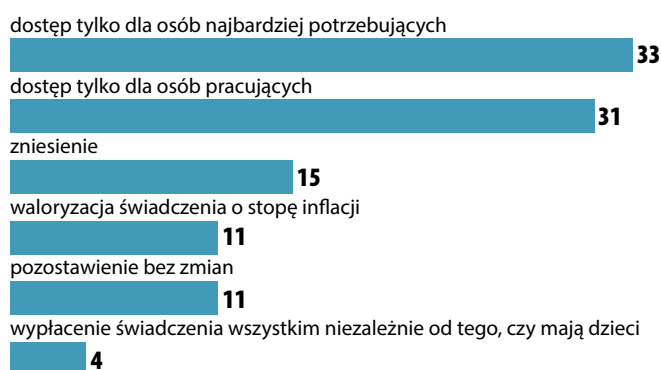
1. OCENA PAŃSTWA PiS jest druzgocąca

Choć PiS posiada wciąż największą bazę zwolenników, to nie może liczyć na ten sam stan posiadania, co w czasie wyborów w 2015 albo 2019 r. Istnieje grupa wyborców PiS, którzy, razem z opozycją i liberalną opinią publiczną, podzielają krytyczne zdanie o działaniach obozu władzy, a mimo to głosują na partię rządzącą ze względu na korzyści, które państwo zapewnia im i ich rodzinom. Ten elektorat popiera PiS warunkowo albo instrumentalnie, krytykując partię Kaczyńskiego za propagandowy charakter mediów publicznych, korupcję polityczną czy sojusz z Kościołem katolickim.

Nasze badania pokazują, że wizerunek państwa pod rządami PiS jest niemal katastrofalny. Negatywne opinie na temat polityki

Poparcie dla wariantów reformy programu

Rodzina 500+ (w proc.*)



*wartości procentowe nie sumują się do 100 proc., ponieważ respondenci mogli poprzeć więcej niż jeden wariant reformy.

władzy przekładają się na coraz mniejsze zaufanie do państwa i wiarę w jego możliwości. Konsekwencje, długo- i krótkotrwałe, tego procesu ponosić może nie tylko rząd, ale także pozostałe ugrupowania. W oczach badanych państwo polskie jest obecnie wchłonięte przez partię rządzącą. Polska to PiS. Państwo jawi się jako złe, chaotycznie i niekompetentnie zarządzane, podporządkowane partykularnym interesom władzy. Jest opisywane jako podzielone, trudne do życia, niesprawiedliwe i skorumpowane.